

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.



Opowiadanie babci.

DO LALKI.

Laleczko moja malutka,
Oj wielka z ciebie flutka,
Przymilasz mi się tak słodko,
Laleczko, moja pieszczotko.

Sukienki ci się zachciało,
A masz ich przecież nie mało;
Lecz tobie śni się już nowa,
Prześliczna, adamaszkowa.

I nic to wcale dziwnego,
Laleczką jesteś od tego;
Dla ciebie szmatka jaskrawa
To bardzo ważna jest sprawa.

To całe szczęście jest twoje
Kosztowne posiadać stroje,
I od samego już rana
Myśleć, jak będziesz ubrana.

Bo w twojej główce tak pusto!
Tam tylko groch w niej z kapustą,
Tylko wróbelki latają,
I harce wciąż wyprawiają.

Ja też się tobie nie dziwię,
Bardzo to jednak szczęśliwie,
Że w mojej główce dziewczęcój
Może się zmieścić coś więcej.

Bo to laleczce przystoi,
Kiedy się cały dzień stroi,
Gdy łachmankami się bawi,
Drogi nad nimi czas trawi.

Ale ja tego nie zrobię,
Na lalkę się nie sposobię;
Mogę sukienkę mieć ładną,
Lecz niekoniecznie paradną.

Czy to nie szkoda pieniędzy,
Tyle na świecie jest nędzy!
Czy to mnie strojów potrzeba,
Gdy ludziom brakuje chleba.

Ja lubię moją laleczkę,
Ale ja więcej troszczyćkę
W sercu i w główce mieć muszę—
Na to mi Pan Bóg dał duszę.

Bożena.

OPOWIADANIE BABCI

o zwyczajach ludowych.

— Biedne te dzieci miejskie—mówiła sędziwa babcia, kiwając głową z ubolewaniem—ile to jest na wsi ciekawych rzeczy, i latem i zimą, a one tu tego wszystkiego nie widzą. Ot teraz naprzykład, już i mijają Święta, a nam nikt na wigilią wieczerzy nie przyniósł, ani siewacze nie zawitali na Nowy Rok, ani koń ustrojony nie przyszedł do izby, a na Trzech Króli nie widzieliśmy niedźwiedzia z kozą; hej, hej! jaka to szkoda! ja sama, choć stara, lubiłabym na to wszystko popatrzeć.

Babcia często bardzo wspominała dawne czasy, kiedy mieszkała na wsi, gdzieś daleko, nad rzeką Bohem, w téj części kraju pomiędzy Podolem a Ukrainą, którą dawniej zwano Pobereżem. Mąż jój, dziś już nieżyjący, był tam oficjalistą w majątku Hrabów Potockich, ale po śmierci jego wdowa przeniosła się na mieszkanie do Warszawy, gdzie dawniej już wyjechała była z mężem córka jój, jedyną matką dwojga ukochanych wnucząt, Józia i Anusi. Ojciec tych dzieci był porządnym rzemieślnikiem, krawcem, i mieszkał w mieście, gdzie miał korzystną robotę, ale babcia tęskniła bardzo za wsią; jedyną jój pociechą i rozrywką było opowiadać wnuczkom o życiu wiejskiem, wiejskich zwyczajach na Pobereżu, a wówczas, nie tylko dzieci słuchały z zachwyconiem, ale i matka ich, siedząc przy kądzieli, od której dawna wieśniaczka odwyknąć nie mogła, uśmiechała się, przypominając sobie dziecinne lata; nieraz nawet i ojciec przysłuchiwał się z upodobaniem, bo on, jako Mazur rodowity, a do tego mieszkaniec miasta, nie miał o tém najmniejszego wyobrażenia.

I dziś więc, na te słowa babuni, dzieci zaciekawione podbiegły zaraz i usadowiły się przy jój nogach:

— Jacy siewacze, babciu?—zapytał Józio—alboż to na wsi zimą, a do tego w czasie Świąt, zboże się zasiewa?

— A cóż to za koń, babuniu, co przych-

dzi wystrojony do izby?—dodała Anusia—a ten niedźwiedz z kożą, to coś okrutnie ciekawego. Moja babciu droga, proszę nam to opowiedzieć.

— No dobrze, ja tak lubię o tych dawnych czasach prawić, kiedyśmy z nieboszczykiem waszym dziaduniem, świec Panie nad jego duszą, mieszkali w ładnym dworku w Kowalówce. Wasza mama to dobrze pamięta, bo ona zawsze, jeszcze małą będąc dziewczynką, od wiejskich kobiet wieczrę odbierała, siewaczom na Nowy Rok wynosiła podarunki, a kiedy stary nasz woźnica, Hawryło, konia wprowadził do izby, musiał ją koniecznie na nim posadzić. Oj, dawne czasy, dawne czasy! Teraz już i tam może nowe zwyczaje nastąpiły, ale ja opowiem, jak to było, kiedy mama wasza ot taka była, jak teraz Anulka. Najpierw tedy w wigilią Bożego Narodzenia, kiedy już u mnie stół był nakryty, siano pod obrusem, jak Bóg przykazał, a w kącie izby dwa snopy zboża, pszenicy i żyta, żeby z nich wykruszyć potem po garstce ziarna do pierwszego zasiewu, przychodziły jedna po drugiej kobiety wiejskie, a każda niosła w ręku miseczkę, związaną w małej chusteczce kolorowej i pozdrawiała nas swoją mową: „*Dobryj wieczer, w świątyj wieczer, daj wam Boże zdorowla, szczastia i panowania.*“ Zrozumieście zapewne, że to znaczy: Dobry wieczór, w święty wieczór, daj wam Boże zdrowie, szczęście i panowanie w niebie, czyli zbawienie. A ja każdą odpowiedziałam: „*Spasy Bih*“ co znaczy, dziękuję, a co do słowa to niby: Boże zbaw. Potém, wasza mama podbiegała, rozwiązywała chusteczkę i wyjmowała z miseczki przyniesione dary; było tam zwykle parę jabłuszek, garstka orzechów i łyżeczka *kuti*. Ale wy tu na Mazowszn nie wiecie nawet, co to *kutia*, a tam u nas, nad Bohem, wigilia nigdzie się bez niej nie obejdzie, ani w bogatszych domach ani w uboższych. Jest to pszenica w ziarnie, namoczona i rozgotowana, nakształt kaszy, przyprawiona z makiem i miodem; powiadam wam, wyborna potrawa, daleko smaczniejsza od waszych mazowieckich klusek z makiem. Ja zawsze sobie na wigilią przyrządzałam sporą misę *kuti*, tak że jeszcze i na drugi dzień zostało.

— Ale niechże babcia opowie o tych siewaczach—odezwał się Józio—ja ogromnie jestem ciekawy, co oni tam zasiewają zimą.

— A ja znów ciekawa jestem tego konia, co do izby wchodził i co to mama na niego wsiadała—rzekła Anusia.

— Poczekajcie, wszystko to będzie w swojej porę—mówiła babcia, uszczęśliwiona, że jej z takim zajęciem słuchano—muszę przecież wszystko opowiedzieć porządkiem. W pierwsze lub drugie Święto Bożego Narodzenia przychodzili znów wieczorem parobczaki ze wsi i stojąc pod oknem śpiewali różne kolendy. Po ukończeniu, najstarszy wchodził do izby z powinszowaniem i trzeba mu było dać parę groszy i wódką poczęstować. Ale najciekawsze i najzabawniejsze rzeczy zaczynały się na Nowy Rok. Wasza mama raniutenko była już na nogach i trzymając w ręku woreczek naładowany jabłkami i orzechami, włożywszy w kieszonkę parę groszaków wyproszonych od ojca, wyglądała siewaczy. I wnet uradowana wołała: *Idą już, idą!* A przez podwórko biegła cała gromadka malców wiejskich, każdy miał przewieszony przez plecy woreczek ze zbożem i wszyscy hurmem wpadali do izby, rzucając pełnemi garściami ziarno na podłogę i wołając w niebogłose: „*Sij sia, rody sia, żyto, pszanycia, wsiaka pasznycia, na szczastia, na zdorowla, na Nowy Rik!*“ Zasiewaj się, rośnij, żyto, pszenica, wszelkie zboże, na zdrowie, na Nowy Rok! A dostawszy na podziękowanie za te życzenia to jabłko, to pierożka, to groszaka, biegli dalej, grzęznąć w śniegu, od chaty do chaty i wszędzie posiewali i winszowali tak samo, aż póki nie wypróżnili z ziarna woreczków, które natomiast napakowali orzechami, jabłkami i pierogami. Po siewaczach przychodził znów koń, którego woźnica ustroił, w co tylko mógł, przykrył jakimś ładnym czaprakiem, a na grzywie, na uszach i łbie naczepiał mu różnych wstążek, kokardek, i kwiatów papierowych. Konik prowadzony za uzdeczkę przestępował próg i stawał na środku izby, a woźnica prawił powinszowanie, za które dostawał poczęstunek. Po koniu następowała krówka, także ustrojona w kwiaty i wstążki i prowadzona przez pastuszką; dziewczki

folwarczne przychodziły znów, jedna z kurą, druga z gęsią lub indyczką. Raz pamiętam, mała dziewczynka, córeczka naszej kucharki, widząc, że wszyscy wybierając się do nas z powinszowaniem stroili różne zwierzęta, wyciągnęła kotkę z za pieca, uwiązała jej wstążkę na szyi i z dobrą miną weszła do naszej izby, niosąc ją na rękę i recytując powinszowanie.

— O, jakże to zabawnie być musiało—wołała śmiejąc się Anusia—jakaż to szkoda, że mnie tam nie było, że ja nie widziałam tego.

— Jeszczebyś się więcej ubawiła, gdybyś zobaczyła znów na Trzech Króli całą gromadę parobczaków poprzebieranych za cyganów, i za różne zwierzęta, niedźwiedzia, kozę, żórawia; wszyscy stawali przed oknem i trzeba było także im podziękować za powinszowania datkiem i poczęstunkiem.

— Ale jakże to można—mówił Józio—przebrać się za niedźwiedzia, albo za żórawia? Za cygana to już chyba łatwiej.

— Ci, co cyganów udawali, mieli twarze i ręce osmolone węglem i poczepiane na sobie różne łachmany, a niedźwiedź po prostu okrył się cały z głową długim kozuchem, obróconym sierścią na wierzch; parobczak przebrany za żórawia lub kozę, także przykrywał się, czy to kozuchem, czy płachtą, długą szyję żórawia wyobrażał po prostu kij do góry trzymany, a dziób jakikolwiek kawałek drzewa. Niedźwiedź udawał ryk tego zwierza, koza beczala i różne harce wyprawiała, a żóraw krzyczał nakształt ptaka. Cyganie kłaniali się do ziemi, zdejmując obdarte czapki i dopominali się datku, naśladując płaczliwy głos i natarczywe prośby, jakimi zwykle prawdziwi cyganie naprzykrzają się wszystkim, gdy do wsi przywędrują. Hej, hej! już ja tego nigdy w życiu nie obaczę—zakończyła babcia i smutnie głowę zwiesiła.

— Alboż to u nas już nic a nic niema do widzenia?—odezwał się ślusarz—a toż tylko co nie widać, jak nadejdą z szopką i obaczymy króla Heroda, i Trzech Królów i śmierć i różne różności. A nasze pączki zapustne nie gorsze przecież od owęj kuti. Mięso-

sty, zapusty; pamiętam, jak nieboszczyk mój dziaduś śpiewał sobie zawsze w tej porze zabawną piosneczkę. Poczekajcie, może przypominę choć początek:

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie,
I żubrowe pieczenie.

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.

A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu z małmazyją.
I tak sobie podpiją.

Mięsopusty, zapusty
Nie chcą panny kapusty,
Wolałyby zwierzyne
Niżli prostą jarzynę.

Tenże sam dziaduś opowiadał, że i u nas tu w Warszawie dawniej zbierali się w święta Bożego Narodzenia chłopcy, przebierali się, to za wilka, to za niedźwiedzia lub żórawia z długim dziobem i chodzili od domu do domu po kolendzie. Teraz już te stare zwyczaj się zapominają, zwłaszcza po miastach i w pobliżu miast, ale po wsiach oddalonych przechowują się jeszcze, i żeby kto tak chciał podowiadzać się o tém wszystkiem i opowiedzieć, toby się z przyjemnością posłuchoało.

I my także sądziliśmy, że młodzi nasi czytelnicy chętnie posłuchają opowiadania o zwyczajach ludowych w różnych stronach kraju, i przygotowaliśmy o tém wiadomości, które od czasu do czasu w Piśmie naszym podawać będziemy.

DAR BABUNI.

Obrazek sceniczny w jednym Akcie.

(Dokończenie).

SCENA V.

KOCIA I ADELICIA.

KOCIA. Jakże to doskonale, że ci to na myśl przyszło, Adelciu; jabym doprawdy nie mogła wytrzymać do jutra.

ADELICIA. Ja zawsze mam dobre pomysły; przynajmniej przymierzę sobie dziś tę śliczną szarfę. Ach, żebyż prędyż już ją przyniesli.

SCENA VI.

TEŻ SAME, KASIA z małą paczką w ręku.

KASIA. Dobrydzień paniom; przyniosłam tę robotę, bo to podobno bardzo pilne. Wczoraj matusia siedziała nad nią z godzinę po północy, aż póki nie dokończyła. Może która z pań odniesie do pani.

ADELICIA. Dobrze, dobrze, Kasiu, ale poczekaj troszkę, bo mamę głowa boli i niedawno usnęła, ale pewnie się niezadługo przebudzi, a podobno ma jeszcze inną jakąś robotę dla twojej matki.

KOCIA. (Przysuwając stołek). Siadaj tu, Kasiu, porozmawiasz z nami, nim się mama przebudzi.

KASIA. Bardzo dziękuję, panienci takie zawsze grzeczne. (Siada, trzymając paczkę na kolanach). Mogę poczekać, choćby i najdłużej, bo dziś już nie mam żadnej pilnej roboty w domu.

ADELICIA. A cóż ty tam za robotę masz zwykle? czy uczysz się z tych książek, co ci mama nasza dała?

KASIA. (uśmiechając się). Ej, proszę panienci, albo to robota? ja bardzo lubię uczyć się z książki, ale to tylko wtenczas można, kiedy jest czas. Tożto wszystko w domu na mojej głowie, bo matusia nie może się ani na chwileczkę od swego szycia oderwać. Mu-

szą przecież i izbę uprzątnąć i pójść na targ, kupić co trzeba do obiadu, i ogień rozpalić i ugotować; a potem pozmywać, posprzątać.

KOCIA. Jakżeż ty możesz sama to wszystko zrobić, moja Kasiu? to okropnie ciężko.

KASIA. Cóż robić, panienko; matunia musi już ze mnie mieć pomoc, inaczej nie mogłaby tyle zarobić dziennie i nie mielibyśmy z czego wyżyć.

ADELICIA. A ileż twoja matka zarabia?

KASIA. O, teraz, dzięki Bogu, od kiedy mama panienek nam daje robotę i od innych pań nastęrcza, matunia ma duży zarobek, już najmniej po cztery złote dziennie, a czasem i pięć i więcej.

ADELICIA. Cztery złote! wy z tego żyjecie?

KASIA. O, broń Boże, my na życie tak dużo nie wydajemy; ja zawsze za dwa złote kupię na mieście wszystko, co trzeba na cały dzień, a jeszcze i dla starszej siostry, Maryni, zostawiamy coś zawsze na wieczór, bo tam, gdzie ona chodzi na robotę, bardzo mało jeść dają i czasem strasznie bywa głodna. Ona także już zarabia po czterdzieści groszy dziennie.

KOCIA. Po czterdzieści groszy dziennie! I cały dzień musi pracować za to?

KASIA. A tak, ale w Niedzielę odpoczywa, i my także, i idziemy wszystkie razem do kościoła, a potem, jak ładna pogoda, to się czasem i po Saskim ogrodzie przespacerujemy. Za rok, jak Bóg da doczekać, i ja także będę chodziła do magazynu razem z Marynią, a mamie wtenczas stara nasza sąsiadka, Franciszkowa, przyjdzie codziennie izbę wyprzątnąć i ogień rozpalić. Zapłaci się jój za to jakie kilka złotych miesięcznie; ja zawsze więcej zarobię w magazynie.

ADELICIA. Czy słyszysz, Kociu, kilka złotych miesięcznie, za taką ciężką robotę!

KASIA. O, proszę panienci, to nie żadna krzywda, tak zwykle się płaci, to przecież nie za cały dzień. Marysia bierze czterdzieści groszy i życie, ale ona od rana do wieczora musi siedzieć nad szyciem.

KOCIA. I życie ma takie, że głodna do domu przychodzi.

KASIA. To trudno, moja panienko, teraz taka straszna drożyzna.

ADELICIA (do Koci). Kociu, a to i my przed chwilą mówiliśmy o drożyźnie, tylko że nam co innego było w głowie. (zamyśla się).

KOCIA. To prawda, (kiwa główką ze smutkiem), zupełnie co innego. (wstaje). Ale pójdę ja zobaczę, czy mama się nie zbudziła, bo Kasia tak długo czeka. (wychodzi).

SCENA VII.

ADELICIA I KASIA.

KASIA. Jak przyniosę matuni pieniądze za tę robotę (pokazuje paczkę), to już nam tylko dwadzieścia rubli zostanie do spłacenia maszyny. Matunia wzięła na wypłat maszynę do szycia; teraz robota idzie tak sporo, że aż miło, ale to strasznie droga rzecz, ta maszyna. Ach, tak teraz zbieramy pieniądze, tak składamy, i to co mama zarobi, i to co Marysia, bo co tydzień trzeba koniecznie odnosić ratę do składu, inaczej kupiec odebrałby nam maszynę; ale da Bóg, za jakie pół roku, już ona będzie nasza.

ADELICIA. Jeszcze pół roku takiej ciężkiej pracy, mój Boże!

KASIA. To najgorzej, panienko, że to taki ciągły niepokój; bo nużby matunia zaniemogła... w sobotę wieczorem coś jęj się w oku zrobiło, tak rozboleło, że musiała z godzinę zimną wodą przemywać zanim odeszło. Tożto mieliśmy strachu! Matusia już ręce łamała: przepadłaż moja maszyna, przepadła! Ale jakoś Pan Bóg dał, że to sobie odeszło.

ADELICIA. Ach, moja Kasiu, jaka to wielka szkoda, że ty nie przysłaś tu trochę wcześniej z tą robotą, tak przed godziną; ach, jaka szkoda!

KASIA. A cóżby było, panienko.

ADELICIA (ze smutkiem). Już teraz niema co i mówić, nic nie pomoże, ale wielka szkoda. (po chwili milczenia). Nieprawdaż, Kasiu, że tybyś bardzo się ucieszyła, gdyby ci ktoś tak niespodzianie darował dzieśięć rubli, albo i dwadzieścia, żebyś mogła zaraz dziś spłacić maszynę matki?

KASIA (z żywością). O, pewnie, panienko! smutniej). Ale któżby to mnie mógł takie

ogromne pieniądze darować? A potem, żeby kto i darował, to jakżebym ja je wziąć mogła?

ADELICIA A to dla czego?

KASIA. Bo matunia mówi, że jak kto jest zdrow i pracować może, to nie powinien brać jałmużny; jałmużna to tylko dla chorych i kalek.

ADELICIA. Ależ mógłby wam te pieniądze ktoś pożyczyć, tak, żeby matka nie potrzebowała ciągle się niepokoić o te wypłaty tygodniowe.

KASIA. O, mój Boże, cóżby to było za szczęście! ale kto to tak zechce pożyczyć.

ADELICIA (na stronie). Poco ja się tak pośpieszyłam z tą szarfą! a tu już teraz niema sposobu prosić o pieniądze, ani babci, ani mamy.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, BRONEK I KOREPETYTOR.

KOREPETYTOR (kłaniając się Adelci). Dobry wieczór pani.

ADELICIA (dyga). Dobry wieczór.

BRONEK. Adelciu, mama mówiła, żebyś przyprowadziła do niej tę dziewczynkę, to jęj za robotę zapłaci.

ADELICIA. Chodźmy, Kasiu. (odchodzą).

SCENA IX.

BRONEK I KOREPETYTOR.

BRONEK. Ale czegoż się pan tak śpieszy; proszę poczekać chwileczkę, tylko widać, przyniosą ze sklepu nasze sprawunki; pokażę panu coś przeslicznego i dam kilka wybornych cukierków, owoców smażonych, to najlepsze.

KOREPETYTOR. Ja nie bardzo jestem łakomy; a śpieszno mi, bo radbym matce zwiastować jaknajprędzej dobre nowiny. Dziś dla mnie bardzo szczęśliwy dzień.

BRONEK. Tak zupełnie, jak dla mnie; a cóżto panu tak szczęśliwego się zdarzyło?

KOREPETYTOR. Najprzód dowiedziałem się, że dostanę na wpis ze składki zebranej dla ubogich uczniów z koncertu. Powiedział mi to nauczyciel, którego spotkałem idąc tu te-

raz. Potem twój ojciec podwyższył mi pensyę o całe dwa ruble; będę więc brał ośm rubli miesięcznie. (z uśmiechem). I powiedział przytęm, że bardzo jest zadowolony z mojej pilności.

BRONEK. A któżby nie był z pana zadowolony; ja pana także bardzo kocham.

KOREPETYTOR (podaje mu rękę). I ja ciebie kocham, Bronku, bo ty się dobrze uczysz i nigdy mi nie dokuczysz, jak to malcy umieją. Oj, czasem te korepetycyce strasznie są ciężkie, jak się natrafi na grymaśne dzieci i leniwe. (Wyjmuje pularsik i ogląda pieniądze). Widzisz, jaki ja jestem bogaty.

BRONEK. Trzy, sześć, a cztery, dziesięć rubli.

KOREPETYTOR. A tak, bo miałem jeszcze dawniejszych dwa. Teraz już o wpisie nie potrzebuję myśleć, więc będę mógł sobie szynel podwatować... a może i nową podszewkę dam. (śmieje się). Toż mi teraz będzie ciepło i wygodnie; a to czasem tak marzłem, szczególnie wieczorem, jak się idzie na korepetycyę na drugi koniec miasta. No, bądź zdrów, Bronku. (odchodzi).

SCENA IX.

BRONEK SAM.

BRONEK (z miną zafrasowaną). A, doprawdy, popsuł mi zupełnie humor ten poczciwy pan Władysław. Tak się cieszył temi dziesięciu rublami... (prawie przez płacz) i żeby mu byli nie dali na wpis, to musiałyby jeszcze całą zimę marznąć w tym niewatowanym szynelu. (zamyśla się). Jacy to są jednak biedni chłopcy na świecie. (wzdycha). Podobno stryjasek dobrze mówił i ja potężne głupstwo zrobiłem, żem tak się pośpieszył z kupowaniem tych cukrów. Żebym mógł jakim cudem te pieniądze znów do rąk dostać... (z zapalem), zarazbym oddał wszystko na wpis dla ubogich uczniów. (ze smutkiem). Ale stało się.

SCENA X.

WCHODZI KOCIA.

KOCIA, (która weszła, gdy Broniek wymawiał

ostatnie słowa). Ach, stało się. Nie wiem, o czém ty tam mówisz, Bronku, ale ja doprawdy jestem w rozpaczy, żem te pieniądze oddała na takie głupstwo; tak mi żal, tak żal.

BRONEK. A jak mnie żal, żebyś wiedziała.

KOCIA (zdziwiona). I tobie także? A ty przecież nie słyszałaś, co Kasia opowiadała.

BRONEK. Ja tam nie wiem, co Kasia opowiadała, ale żebyś ty była słyszała, co pan Władysław mówił, jak to on długo zbierać musiał, ażeby mieć dziesięć rubli na podwatowanie szynela, bo teraz jeszcze w niewatowanym chodzi.

KOCIA. A to zupełnie tak samo i z Kasią; one tak pracują z matką, tak oszczędzają, żeby zapłacić za maszynę do szycia i jeszcze pół roku muszą żyć w ciągłej trwodze.

BRONEK (załamując ręce). A my takie głupstwa kupujemy, tak marnujemy pieniądze!

KOCIA (staje naprzeciw niego także z załamaną rękoma). Tak okropnie marnujemy!

SCENA XI.

CIŻ SAMI, wchodzi Adelfia i słyszy ostatnie słowa Bronka i Koci.

ADELFCIA (smutnie). Jeszczeż to wam się nie dziwić, wy, zwyczajnie, jak dzieci; ale ja, ja... że też ja mogłam takie szaleństwo zrobić... I trzeba mi było tak się spieszyć!

KOCIA. Żebyśmy były obie złożyły nasze pieniądze, byłoby właśnie dwadzieścia rubli i matka Kasi spłaciłaby maszynę.

ADELFCIA. A kiedyś, kiedyś, oddałyby nam te pieniądze i znów możnaby za nie coś dobrego zrobić. Ach, jaka to szkoda!

SCENA XII.

CIŻ SAMI, służący wnosi trzy niewielkie paczki.

SŁUŻĄCY. Przyniósł to chłopak jakiś, powiada, że to sprawunki, dla panienek i panicza. (stawia paczki na krześle i odchodzi).

SCENA XIII.

ADELCIA, KOCIA I BRONEK.

(Dzieci stają zasmucone z głowami pospuszczanymi.)

ADELICIA. I co my będziemy z tém robić? ja nie mam nawet ochoty popatrzeć na tę szarfę.

KOCIA. Ani ja na tę obrzydłą lalkę.

BRONEK. Mnie zupełnie apetyt odpadł od cukierków.

ADELICIA. Ach, cośmy zrobili, cośmy zrobili!

KOCIA. Żeby to można było jakim sposobem odprzedać.

BRONEK. Tożeśmy sobie kłopotu napytali.

SCENA XIV.

CIŻ SAMI, STRYJASZEK.

STRYJASZEK. No, cóż to za miny takie powarzone? (milczenie). Co się wam stało? (spogląda na paczki). Aha! już przynieśli sprawunki, ale czemuż dotąd nie rozpakowane?

BRONEK. Bo widzi stryjasek, tu przez ten czas różne okoliczności zaszły.

KOCIA. I okropnie nam żal, stryjaszku, żeśmy tak niemądrze wydali tyle pieniędzy.

ADELICIA. Bardzo się źle stało, żeśmy stryjaszka nie usłuchali i tak się pośpieszyli z temi sprawunkami, bo moglibyśmy teraz te pieniądze daleko, daleko lepiej użyć.

KOCIA. Była tu Kasia, córka biednej szwaczki i opowiadała takie różne rzeczy...

BRONEK. I mój korepetytor, pan Władysław, także różne rzeczy opowiadał.

STRYJASZEK. Aha, domyslałem się; i te opowiadania lepiej widzę poskutkowały od moich morałów, których nie chcieliście słuchać.

ADELICIA. Szkoda, wielka szkoda, żeśmy nie słuchali, bo teraz już wszystko stracone.

STRYJASZEK. Co stracone? (spogląda znowu na paczki i zaczyna się śmiać). Cha, cha, cha! a

prawda, żeście nie otworzyli jeszcze tych paczek. No, no, rozpakujcie, nie bójcie się, może tam się jaka niespodzianka pokaże.

BRONEK. Niespodzianka! (chwytając jedną paczkę i czytając napis na niej). Dla Bronka; to dla mnie. (rozwiązuje i wyjmując parę książek, ozdobnie oprawnych). Książki! (Kocia i Adelia rozwijają szybko dwie pozostałe paczki i także książki z nich wyjmują).

KOCIA. Książeczki!

ADELICIA. O, jakie śliczne książki!

STRYJASZEK. To macie odemnie, bo i ja także spóźniłem się ze świątecznymi podarunkami dla was.

DZIECI (wszystkie razem). Dziękujemy kochanemu stryjaszkowi.

BRONEK. (z nieśmiałością). Stryjaszku, a cóż z tamtymi sprawunkami? może...

KOCIA. Może ich tylko jeszcze nie przynieśli?

ADELICIA. We mnie jakaś nadzieja wstępuje.

STRYJASZEK. Z waszemi sprawunkami nie widziałem potrzeby tak się śpieszyć; myślałem sobie, że na wyrzucenie pieniędzy pora będzie jeszcze i jutro, i pojutrze.

BRONEK I KOCIA (z radością, klaszcząc w ręce). Więc nie kupił stryjaszek?

STRYJASZEK. Ani myślałem; i pokazuje się, że do-

brze się stało, bo sami teraz widzicie, jakie to jest szaleństwo, jaki grzech, wyrzucać pieniądze na cacka zbytkowe i łakocie, kiedy tylu jest ludzi na świecie, którzy ciężko pracować muszą na opędzenie najpierwszych potrzeb życia.

KOCIA. O, jakże to doskonale się stało!

ADELICIA. Jutro matka Kasi będzie mogła zapłacić za swoją maszynę.

BRONEK. A ja swoje pieniądze zaraz oddam na wpis dla jakiego ubożego ucznia; pan Władysław musi znać takich wielu.

WSZYSTKIE DZIECI RAZEM. O, jakże to stryjaszek mądrze zrobił, jakże to doskonale się stało!

Zasłona zapada.

Teofila Gl....



Zabawa w cienie.



Pałac Korsabadzki.

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

ARCHITEKTURA.

IV.

Zwaliska Niniwy i Babilonu.

W zachodniej Azji, nad brzegami Tygru, na rozległej płaszczyźnie, piętrzą się na-

kształt pagórków ogromne stopy pokruszonych cegieł, przysypane ziemią i trawą porośnię; dokoła widać niskie lepianki kilku nędznych wiosek. Na tym miejscu niegdyś, przed wiekami, stała sławna wschodnia stolica, Niniwa. Założycielem jej był Assur, potomek Sema. W tym samym prawie czasie wielki myśliwy Nemrod, z rodu Chama, zakładał na wybrzeżach Eufratu potężny Babilon.

Niniwa, według opisu starożytnych pisarzy, zajmowała taką przestrzeń, że wyglądała raczej na kraj opasany murem, aniżeli na miasto. Trzech dni potrzeba było na to, ażeby ją obejść dokoła. Otaczające ją mury, po obu stronach najeżone wysokimi wieżami, tak były grube, że kilka wozów bojowych mogło na nich przejeżdżać obok siebie. W obrębie miasta wznosiło się 1500 wieżyc i niezliczone gmachy, świątynie, pałace ze wspaniałymi ogrodami; ludność obliczano na dwa miliony. Dziś z całego tego przepychu pozostały niezmierne stosy gruzów.

Na wybrzeżach Eufratu, o kilka mil od Bagdadu, podobne góry zwalisk wskazują znów miejsce, gdzie stał starożytny Babilon. Tu spustoszenie straszliwsze jeszcze i smutniejszy przedstawia widok. Niema nigdzie w pobliżu najlichszych mieszkań ludzkich, tylko szakale i inne dzikie zwierzęta grzebią sobie legowiska w gruzach i snują się po tych ścieżkach, gdzie niegdyś wrzały i huczały różnobarwne tłumy. Dwie te starożytne stolice, Niniwa w Assyrii i Babilon w Chaldei, sąsiadując ze sobą, nieraz zajażdżały walki, ale najczęściej zjednoczone były pod wspólnym berłem. Gdy Assyryjczyków pokonali Chaldejczycy, wówczas Babilon wznosił się i wzrastał w potęgę; gdy szala zwycięstwa przeważała znów na stronę Assyryjczyków, podnosiła się stolica ich Niniwa. Tymczasem w obu tych państwach wszystko było jednakowe, i religia, i obyczaje, nie dziw więc, że i dzieła sztuki miały cechy zupełnie podobne. Szczątki budowli, odgrzebane z gruzów Niniwy i Babilonu, przedstawiają styl zupełnie jednostajny. Oba te miasta pokilkakrotnie ulegały straszliwemu zniszczeniu, mury ich i wspaniałe gmachy rozsypywały się w gruzy pod ciosami różnych zdobywców, potem na nowo były odbudowywane. Uczeń umieją rozróżnić które z pozostałych zabytków należą do epoki dawniejszej, a które są późniejszego pochodzenia.

Przez długie wieki owe góry zwalisk leżały nietknięte, dopiero w naszych czasach zaczęto je rozgrzebywać i znaleziono mnóstwo przedmiotów ciekawych, a nawet całe udowle, ukryte pod gruzami i ziemią. Na

rycinie naszej widzicie taki odwieczny pałac, odkopany w miejscowości zwanéj Korsabad, w okolicach Niniwy; jest on tak dobrze zachowany, że z łatwością wyobrazić sobie można, jak wyglądał niegdyś przed wiekami, w całej swéj okazałości; tak go też przedstawia nasza rycina. Według zdania historyków, pałac ten pochodzi z początków VIII wieku przed Chr. należał on do nowego miasta, które zbudował król Sargon po zburzeniu dawnéj Niniwy, za czasów Sardana-pala.

Assyryjczycy nie mieli pod ręką tak wybornego kamienia, jak Egipcyanie; zaczęli więc na materiał budowlany wyrabiać cegłę z gliny. Zrazu nie wypalali jéj nawet, tylko suszyli na słońcu, czasem też układali z mokrej, świeżéj cegły całe budowle, które potem dopiero wysychały i twardniały. Owe grube mury, po których się przejeżdżały wozy, były zewnątrz i wewnątrz z cegły, we środku zaś ziemią wypełnione. Wszystkie większe gmachy budowano zwykle na sztucznych nasypach ziemnych, jakby na wysokości podstawie. Dachy były w części z drzewa, ale także gliną pokryte i z wierzchu ziemią przysypane, tak, że można było na nich rośliny zasadzać. Dla utrzymania takiego ciężaru, mury musiały być potężnych rozmiarów; niektóre dochodziły pięciu metrów grubości. Zamiast ustawiać lasy słupów tak; jak w Egipcie, dla podparcia ciężkiego sufitu, budowniczowie assyryjscy urządzali zwykle sale długie a wąskie, nakształt galeryj; nie umieli bowiem jeszcze przerzucać sklepień obszerniejszych. Wielka sala w pałacu Korsabadzkim ma 116 stóp długości, a szerokości zaledwie 40. Liczniejsze zgromadzenia nie mogły się tam pomieścić i odbywały się zazwyczaj na otwartém powietrzu w dziedzińcach, ponad któremi rozciągnano zasłonę, *velum*, z kosztownych tkanin.

Babilon, który według podań starożytnych, przewyższać miał przepychem wszystkie miasta na ziemi, tak straszliwemu uległ zniszczeniu, tak całkowicie z ziemią zrównany został, że tylko z opisów dawnych pisarzy budowle jego poznać możemy. Miasto rozciągało się po obu stronach Eufratu; brzegi rzeki połączone były wspaniałym mostem

Najdawniejszy to jest most większych rozmiarów, o jakim wspominają dzieje; zbudowany był z mocnych balów drewnianych, cedrowych i palmowych, wsparty na kamiennych filarach, umocowanych żelaznymi klamrami. Mur, opasujący miasto, nie mniej był potężny, jak w Niniwie i także z obu stron wieżami najeżony.

Starożytne ludy wschodnie, tak samo jak Egipcyanie, przedewszystkiem starały się o to, aby dzieła ich zadziwiała ogromem, uderzały olbrzymią masą i potęgą; o właściwe wymiary części, czyli proporcye, daleko mniej dbano, nie pojmowano bowiem jeszcze piękności tego rodzaju. W sztuce Assyryjczyków i Chaldejczyków wryło się wszędzie wybitne piętno ich wyobrażeń i obyczajów. Monarchowie ich byli despotami, panowanie ich polegało jedynie na sile i ucisku poddanych, musieli też ciągle mieć się na ostrożności, zabezpieczać się od zdrady. Pałace ich z tego powodu wyglądały jak twierdze, miały zwykle kilka obszernych dziedzińców zabudowanych w czworobok, opatrzonych silnymi bramami. U wejścia stały potworne posągi fantastycznych, skrzydlatych zwierząt. Bogactwo tam wszędzie było niesłychane, ozdoby jaskrawe i bijące w oczy. Ściany ceglane na zewnątrz powleczone były błyszczącą polewą różnych kolorów, wewnątrz zaś pokryte malowidłami, czyli freskami, czasem wykładane alabastrem. Za ozdobę służyły także kolumny drewniane, pokryte blachą brązową, a nawet srebrną i złotą. Światło dzienne dostawało się przez otwory w suficie, zastępujące okna, a w miejscu szkła, nieznanego tam jeszcze, używano skór wielorybich odpowiednio przyrządzonych.

Warto tu wspomnieć także o sławnych ogrodach wiszących babilońskich, zaliczanych do siedmiu cudów świata; każdy, kto ma jakiegokolwiek wyobrażenie o historii starożytnej, słyszał zapewne i o tych ogrodach, które miały być dziełem królowej Semiramidy; ale dziś już prawie wszyscy historycy uważają ową słynną Semiramidę za istotę bajeczną. Ogrody wiszące, dokładnie opisane przez starożytnych pisarzy, były to olbrzymie nasypy, w kształcie tarasów, wzno-

szących się piętrami. Pod każdym piętrzem przechodziły murowane galerye; wody Eufratu sztucznie przeprowadzone były do tej wysokości, dla podlewania drzew tam zasadzonych.

Przy każdym pałacu królewskim najważniejsze miejsce zajmowała ogromna wieża czworoboczna, o kilku piętrach, zwięzających się ku górze, nakszałt piramidy. Starożytne ludy wschodnie oddawały cześć słońcu i gwiazdom, a wyniosłe te wieże, były to zarazem świątynie i obserwatoria astronomiczne. Najznakomitszym pomnikiem tego rodzaju była świątynia Bela w Babilonie; olbrzymia ta budowla, o ośmiu piętrach, stała na obszernym placu po środku miasta. W świątyni tej nagromadzono niesłychane bogactwa, ściany jej zewnątrz pokryte były kolorową polewaną cegłą, tak że każde piętro miało barwę odmienną, jedno było pozlacane, drugie czarne, trzecie czerwone i t. d. Na wierzchołku znajdowała się platforma; ztamtąd kapłani nieustannie spoglądali w niebo i bieg gwiazd śledzili. Chaldejczycy w tych czasach odległych posiadali już zadziwiającą znajomość astronomii, nauki o ciałach niebieskich, ale obok tego wierzyli w różne zabobony, przypisywali gwiazdom czarodziejskie wpływy na życie i sprawy ludzkie, chcieli z nich odgadywać przyszłość. Kapłani odgrywali tam rolę wróżbitów, królowie przed rozpoczęciem każdej ważniejszej czynności zasięgali ich rady, do tego właśnie służyły obserwatoria przy pałacach królewskich.

Inne świątynie, różnym bożkom poświęcone, składały się, tak samo, jak pałace, z sal długich i wązkich, w głębi zakończonych niszą z wyobrażeniem bóstwa. Cegła nie jest tak trwałym materiałem budowlanym, jak kamień, dla tego też z budowli assyryjskich i chaldejskich tak niewiele pozostało, oprócz niezmierniej masy gruzów. Najszacowniejszym zabytkiem z tych starożytnych czasów są tabliczki, także z gliny wypalane, jak cegła, i pokryte napisami. Tabliczki te zastępowały Assyryjczykom nasze teraźniejsze książki. W jednym z odkopanych niedawno pałaców króla Assurbanipala znaleziono ogromną ich ilość; widocznie stanowiły biblio-

tekę królewską. Uczeni zdołali nawet odczytać osobliwsze pismo chaldejskie, zwane klinowém, gdyż składa się z małych kliników, wypukło na cegle wyciśniętych. Ciekawe tam bardzo wyczytano rzeczy, ale nie mamy dziś czasu o tem obszerniej mówić. Nie wam także nie powiemy o licznych posągach i rzeźbach, znalezionych w wykopaliskach starożytnych miast wschodnich, zostawiamy to na później, gdy o dziejach rzeźby opowiadać będziemy.

M. J. Z.

Przejażdżka sankami.

(Z prawdziwego zdarzenia).

— Cóż to za śliczny śnieg przykrył ziemię! Patrz, droga mateczko, jaka pyszna sanna, szkoda! że nie możemy jój użyć.

Słowa te wypowiedziała żalosnym głosem dwunastoletnia Jadwinia Wileńska, córka zamożnego obywatela. Przeświadczył jój żwawo młodszy brat Karol, wykrzykując:

— Takbym się chętnie przesankował! dzisiaj Niedziela, i wszystkie zadania już odrobione; jestem wolny, jak ptak, a wylecieć nie mogę.

— Wiecie, drogie dzieci,—wyrzekła matka—że ojciec wyjechał za interesem, wróci późno wieczór, nie ma więc koni do wyjazdu; zresztą tyle macie przyjemności i zabawek pod ręką, że nie powinnyście myśleć o tych, których właśnie w tej chwili użyć niepodobna.

Dzieci zastosowały się do mądrej rady matki, Jadwinia wzięła do ręki książeczkę z pięknymi powiastkami, i zaczęła głośno czytać. Czytała powoli, z zastanowieniem, Karolek usiadł przy siostrze na małym stoleczku, słuchając zajmującego opowiadania; wkrótce zapomniały dzieci o tém, czego niedawno tak gorąco pragnęły.

W dobrą godzinę dał się słyszeć odgłos dzwonek i niezadługo piękne malutkie sanki zatrzymały się przed gankiem. Wysiadła z nich najbliższa sąsiadka państwa Wileń-

skich, a wchodząc do pokoju, rzekła z ożywieniem do gospodyni domu:

— Pragnę zabrać kochaną panią na przejażdżkę, powietrze bardzo łagodne i sanna wyborna, jest miejsce na dwie osoby, może które z dzieci usiądzie z nami?

Jadwinia spojrzała na Karolka, Karolek na Jadwinię, i nim jeszcze matka wydała rozporządzenie, które z nich ma się ubierać, Jadwinia podbiegła ku niéj i całując ją w rękę, rzekła:

— Niech droga mama Karolka zabierze, on tak lubi jechać sanną, ja znowu innym razem użyję téj przyjemności.

Karolek pobiegł po futerko, uściśnął serdecznie siostrę, i wsunął się dobrze otulony do sanek. Wkrótce panie zajęły miejsca, a woźnica popędził żwawo konie po śliskiej i dobrze utartej drodze.

Kilka razy w czasie przejażdżki myślał Karolek o Jadwini, która sama w domu została, i serdecznie jój był wdzięczny za tę przyjemność, jaką mu sprawiła; rozmyślał nawet, jakby jój za to swoją wdzięczność okazać. Na gwiazdkę dostał był od ojca przesliczne pudełko z farbami, pędzlami i ołówkami. Rysunek był najmilszą jego zabawą, nieraz trudno go było od niéj odwołać; konie, bitwy, wspaniałe zamki, kwiaty, drzewa, zapępniały wszystkie odcinki od listów i zbywające resztki papieru. Nieraz rodzice śmiali się z jego pomysłów, czasem szczerze cieszyli, kiedy udało mu się co dokładnie i zgrabnie narysować. Otóż Karolek, po przyjeździe z przejażdżki, pobiegł zaraz do szafki, i cały zapłoniony zbliżył się do Jadwini.

— Masz, kochana siostrzo, wszystkie moje farby i przybory do rysunku, wiem, że bardzo pragnęłaś mieć coś podobnego, jesteś tak dobra dla mnie, że już chyba tém muszę ci okazać przywiązanie i wdzięczność.

Jadwinia spojrzała na Karolka swojemi roztropnemi oczkami, uśmiechnęła się mile i rzekła:

— Nie, drogi bracie, tego podarunku nie przyjmuję od ciebie, wiem, że masz dobre serce, ale widzisz, ja także doznałam wielkiej przyjemności, ustępując ci miejsca w sankach. Pamiętasz ostatnią rozmowę

z mamą, w której namtłómaczyła, jak samolubstwo jest brzydką wadą, jak wiele nieszczęścia i zmartwienia przysparza ludziom w życiu. Dobrze sobie zanotowałam w myśli, że dzieci od dzieciństwa powinny wdrażać się do uprzejmości i ustępstwa względem drugich, i pragnęłam szczerze, żeby nadarzyła mi się sposobność okazania, żem ją zrozumiała, i że chcę stać się jej pociechą. Niewynagradzaj mnie więc za to, jest to taka drobnostka, że i mówić o niej nie warto. Schowaj pudełko do szafki, jak będę miała ochotę do malowania, to cię poproszę o twoje przybory malarskie i ołówki.

— O! z całego serca—odrzekł Karol—ja cię tak kocham!

Matka przypatrywała się całej scenie z drugiego pokoju, łza rozczulenia zabłysła w jej oku, westchnęła gorąco do Boga, by jej pozwolił wychować te dzieci na chwałę swoją, i pożytek ludzi.

Walerya Stacherska.

BOHATERKA Z NAD SZRENIAWY,

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Paulinę Krakowową.

(Dalszy ciąg).

Na twarzach państwa z Brzezia osiadła poważna i smętna zaduma; fakt ten powrotu jeńców wiadomy im był, jak całej ziemi mieszkańcom; może myśleli sobie ze smutkiem, że nie każdy zabrany przez nieprzyjaciół i w dalekie zaprowadzony kraje doczeka powrotu w rodzinne strony. Nakoniec rzekła Hanna:

— Cóżecie tam przez długie lata robiły?

— Spytajcie, czegośmy tam nie robiły?—odrzekła Bogna.—Co kazano; dzieci nianaczyć, paniom śpiewać, na ucztach korowody prowadzić, prząść, tkąć zasłony przejrzyste, a która nie gładka była licem, albo w tęsk-

nicy łyzy po jagodach puściła, to ją posyłano do bydła, kopać, a nieraz i orać kazano.

Podczas tego opowiadania, Rzepka, sprzątająca ze stołu, kiwała potwierdzająco głową, a służebne, słuchające zdaleka, dawały sobie wzajemnie znaki współczucia i porozumienia.

— Biedne wy, biedne!—rzekła Hanna z okiem łzą zwilżoném.

— Różnie to bywało!—odparła Rzepka, zapewne smutnemi wspomnieniami wiedziona.

— Ale też—dodała Bogna—widziało się rzeczy i ludzi wiele, i gdyby tak można niejedno co tam było do nas zaprowadzić, to bogaciej byłoby po dworach i ubogiemu ludowi snadniejszą praca. U nas każdego ptaszka trzeba ułować, a tam je hodują, za parę garści zboża znoszą im jaja i śpiewają koło domów. U nas oto wszelka nie szara i ledwie przez całe lato słońce ją dobieli, a tam wszystko wesole, *wzorzyste*, modre, żółte, czerwone; tylko znać zioła, jak je zbierać, kiedy warzyć, to i barwić można, jakby na Wschodzie.

— I nauczyłyście się tego?

— A jakże! ale znaleźć u nas trudno. Oto rubia to i tu rośnie, może są i inne zioła, bo czemużby nasza ziemia miała być gorszą od innych; tylko szukać trzeba, a znalazłszy uprawiać.

— I cóż z tego zrobicie?—zapytała jeszcze Hanna.

— Powiem wam—rzekła z cicha Bogna—Pani Katarzyna lubi barwiste rzeczy, ale nie chce, by je pan zdaleka sprowadzał, bo to drogo kosztuje. Mamy sporo jagnięcej wełny, sama pani zimą ją sprzędła, ma być kaptan dla pana, a że niema w domu nikogo, nagotuję marzanny i ubarwię wełnę na czerwono, potem się utka ściśle, czarną wełną ubramuje i nie będzie potrzeba czekać aż Grek przyjdzie z tobołem i za byle szmatę grubych groszy nabierze.

Podczas tej pogadanki coraz się więcej miało ku wieczorowi; obudziła się Małgosia, Rzepka doniosła, że wszystko ustawiono na wozie, Matys powiedział, że konie popasły i już założone, i goście czeladniej izby w Broży pożegnawszy obecnych zwykłem:

— Bóg zapłać! zostańcie z Bogiem.

I otrzymawszy w odpowiedzi:

— Niech Bóg prowadzi! — wyszli za próg i po niedługiej chwili, gdy się usadowili, pozostali usłyszeli rażny tentent koni, posuwający się w kierunku głównego gościńca. Popędzali też żwawo nasi podróżni wypoczęte dobrze koniki.

— A no! — mówił Pietrasz — może jeszcze przed nocą staniemy w Krakowie.

— Daj Boże! — odpowiadała Hanna, tuląc dziecinę swoją między siebie i Rzepkę, której obok usiąść kazała.

Mrok zapadał; wysoko, z poza chmur wysuwała się srebrna twarz księżycy, jakby chciała natrętne przewyciężyć opony, ale jakoś to szło nie łatwo, bo i chmury nie lekko napływały na niebo, lecz owszem ciężko się na nie wtaczały, jakby każda śpieszyła dostawić naznaczone sobie brzemień wilgoci, zdobytej w blasku słońca po łąkach i polach. Jakoż niezadługo, jakby przez gęste rzeszoto zaczął kropić drobny deszczyk, Hanna okryła siebie i dziecę miękką i ciepłą oponą, mężczyźni ponaciągali na ramiona oponońce i coraz pilniej konie popędzać zaczęli, bo coraz się ciemniej dokoła robiło.

— Byle jeszcze zdążyć do przewozu! — mówił Pietrasz do Jaśka.

— Zdążymy! — odrzekł chłopak.

— Daj Boże! — szepotała Hanna, dosłyszawszy rozmowy.

Jechano dalej ochotnie, otulając się w milczeniu, bo deszcz rześisty kropał coraz silniej i natarczywie przedzierał się przez wszystkie osłony, któremi się przed nim zabezpieczano. W powietrzu czuć było wilgoć, konie chrapały, Małgosia przytuliła się do matki, i już przez czas jakiś głębokie panowało milczenie, gdy Matys naraz zawołał:

— Już rzeka nie daleko, tylko co i promu nie widać.

— Ale nie widać, — rzekł Pietrasz, unosząc się na strzemionach — już i klasztor wynurza się z zarośli, ale u przewozu niema nikogo.

— Może dalej podjechać wypadnie — mruknął niechętnie Matys.

— Poskoczę ja naprzód i dowiem się — rzekł Jaśko, poglądając na ojca.

— Skocz i obejrzyj się dokoła — odpowiedział ojciec — Namby tam rzecz nie wielka podjechać dalej, ale kiedy się z dziećmi i kobietami jedzie, to inna.

— Czy to Tyniec przed nami? — spytała Hanna nieśmiało. Zawzduśmy się tu przewozili.

— Ale dziś niema ludzi u przewozu, nie wiem dla czego.

— Doczekamy się Jaśka niezadługo, a i czas, bo deszcz coraz lepiej trzepie i wiatr mu silniejszy pomaga.

— Ale cóż ja to słyszę — mówił ojciec — czyby on do fórty dzwonił?

— Bóg to wie? może przecież wnet powróci! A cóżby to było począć, gdyby nas dziś przewieźć nie było komu?

— Oj, niecierpliwie niewiasty! Jakoś się przecie pocznie, i niezadługo, bo oto Jaśko skacze przez pole.

Rzeczywiście młodzieniec na sapiącym koniu zatrzymał się wkrótce przed rodzicami.

— Starszy przewodnik zachorował z wieczora, a że burzę na noc przewidywał, zakazał młodszemu puszczać się przez Wisłę i od promu zaciągnąwszy na noc łańcuchy, odniósł od nich klucz fórtyanowi.

— A teraz? — spojrzeli po sobie państwo z Brzezia.

— Trzeba będzie prosić księdza Opatą — rzekł Pietrasz — by nas do fórty przyjęli; już nie pada, ale leje, pod gołem niebem tak zostać trudno.

— Zadzwoń do fórty — rzekł nieśmiało Jaśko — pytając czy można dziś będzie zgłosić się do Przewielebnego.

— I cóż? i cóż? — zapytali jednocześnie oboje rodzice.

— Już po komplecie; Opat, ani żaden Wielebny nie wyjdzie z celi, ale fórtyan powiedział, że drzwi od hospitium zawsze otworem stoją, i teraz nawet już tam jest ktoś z gości.

— To już trudno inaczej — mówił Pietrasz — pójdźmy i my, bo deszcz coraz silniejszy, ciemno i zimno, nie wiadomo, gdziebyśmy dziś zajechali.

— Czyż tam i niewiasty przyjmą w klasztorze? — spytała Hanna.

— Jest tam pomieszczenie osobne dla białychgłów, chyba żeby to właśnie miało być zajęte.

— O! byle dla dziecka kącik! to już ja z Rzepką w jakikolwiek się kąt wsuniemy.

— Matys tymczasem popędzał konie, bo i jemu się uśmiechała myśl przenocowania pod bezpiecznym dachem benedyktyńskiego opactwa, a może i pogawędzenia z pacholkami lub braciszkami, co sobie naówczas lud nasz cenił wysoko. Już coraz wyraźniejszemi stawały się wieże tynieckiego klasztoru, kształtne i białe, przed niewielu bowiem laty odbudowane po spaleniu zostały przez Kazimierza Odnowiciela, a klasztor rozszerzony do tyła, że nie powstydział się być siedliskiem Tynieckiego Opaty, któremu nadawano tytuł: „pana stu wsi”, jak było rzeczywiście z bogatego uposażenia, hojną ręką kilku już królów sypanego.

Za zbliżaniem się podróżnych, coraz szerzej rozwijały się przed ich oczyma rozległe mury klasztorne, wysokie sklepienia kościoła, wieże z milczącymi w tej chwili dzwonami, pomiędzy niemi obszernie i liczne komnaty dla chorych i gości, dalej gospodarskie budowy, a wszystko, jak się godziło, niezbyt niskim otoczone murem, by zarówno kapłanom, chorym, uczącej się tu młodzieży, chętnie też zatrzymującym się podróżnym nie brakło ciszy i wypoczynku.

Podjechawszy do muru, Jaśko skoczył z mierzynka i pomógł zsiść ojcu, a gdy tenże zadzwonił, natychmiast prawie uchylily się drzwi i w sieni, płonącem oświeconej łuczywem, ukazał się w czarnej powłóczystej szacie, miłych rysów i bladego oblicza braciszek benedyktyński, który na powitanie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—odpowiedziawszy:

— Na wieki wieków. Amen.—Już prowadził podróżnych w kurytarz.

— Słota nas przygnała—rzekł Pietrasz— a mamy i dziecinę i białogłowy, których już dalej wieść nie było można. (d. c. n.)

Łamigłówa głoskowa. (B. K.)

Z głoską *m* pokój zwiastuję błogi,
Z głoską *w* zamęt oznaczam srogi,
Z głoską *l* jestem monetą małą,
Z głoską *k* smutku oznaką stałą.

Łamigłówa w kwadraciku. (J. P. z P.)

W kwadraciku złożonym z 16 podziałek ułożyć 6 A, 2 D, 2 I, 2 K, 1 M, 1 N, 2 R, ażeby odczytać w pionowym i poziomym kierunku: 1) Nazwę rzeki, 2) Bohatera bajecznego, 3) Nazwę kobiecą, 4) Trunek.

Tajemnicza głoska.

Lin—Masa—Bura—Rok—Osa—Mara—
Ara—Sawa—Rysa—Sto—Rata—Ryba—
Znaleźć taką głoską, która dodana do każdego z tych wyrazów, zmienia jego znaczenie.

Rozwiązania do N-ru 52.

Łamigłóki w trójkacie:

m a g d a
a k r a
g r a
d a
a

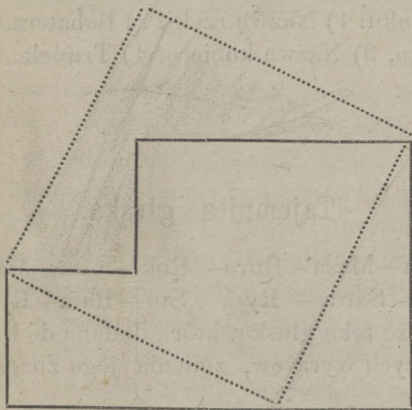
Łamigłóki głoskowej:

Wardar
I seo
Sind
Łosza
Achen.
Wisła—Rodan.

Łamigłównki kryształowej:

K
B O A
K O M A R
M A K
R.

Łamigłównki geometrycznej:



K r y p t o g r a f u:

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni St. w Ciecuiowie. Szarada i łamigłównki wybornie odgadnięte, a liścik uprzejmy i poprawnie napisany, wielką nam sprawił przyjemność. Wszystko, co Kazio w liście swoim zapowiedział, spełnimy w naszym Piśmie, a oprócz tego rozpoczniemy niezadługo opowiadanie pod tytułem: *Przygoty trzech podróżników w puszczy afrykańskiej*. Wkrótce także zamieścimy drugą komedijkę dłuższą, w dwóch Aktach. Brakujący Nr. 50 Pisma wysłaliśmy powtórnie, zapewne już odebrany.

Oleci Gr. w Dąbrowie Górniczej. Liściki, tak ładnie i porządnie pisane, zawsze odbieramy z prawdziwą przyjemnością. Łamigłównkę zamieścimy chętnie, ale zagadka o ptaku i napoju z małą odmianą drukowana już była w naszym Piśmie.

Helence M. w Kijowie. Wszystkie zagadki trafnie odgadnięte, szkoda tylko, że liścik taki krótki.

Karolci P. w Wierzbowej. Bardzo a bardzo dziękujemy za długi i miły liścik i za wszystkie w nim zamieszczone wiadomości. Takie kochane liściki nigdy nam dokuczyć nie mogą, przeciwnie jedyną są rozrywką i zachętą do pracy często uciążliwej i niewdzięcznej. O ile tylko możemy dokładamy starań, aby *Wieczory Rodzinne* coraz więcej ciekawych i zajmujących rzeczy zawierały i zawsze z upodobaniem były czytane.

Jankowi P. Czekamy obiecanych łamigłówek; nie potrzeba koniecznie, ażeby były bardzo trudne, bo dla młodszych czytelników musimy i łatwiejsze podawać. Prosimy tylko, ażeby były napisane taką staranną kaligrafią, jak liścik. Rozwiązanie historycznej łamigłównki z nagrodą podamy później od innych, ażeby czytelnicy zamieszkałi daleko od Warszawy mieli czas przesłać je do naszej redakcyi.

Stasi P. Liścik, choć krótki, ale tak ładnie napisany niezmiernie nas ucieszył. Spodziewamy się częściej podobne odbierać.

Zosi P. Serdecznie dziękujemy za serdeczne słówko. Niezadługo kochana Zosieczka odbierze dłuższy list przez pocztę, z przesyłką.

Trześć.—Do lalki, (wiersz), przez Bożenę.—Opowiadanie babci, (z drzeworytem).—Dar babuni, komedijka w jednym Akcie, (dokończenie), przez Teofilę Gl....—Cienie, (drzeworyt).—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Przejażdżka sankami, przez Waleryą Stacherską.—Bohaterka z nad Szreniawy, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg)—Łamigłównki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku Tajemnica Staro Dworu (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½. *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biurow Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyzka Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Декабря 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.